Wspomnienia

Apolinarego Giedgowda (*1837)

powstańca 1863 i Sybiraka.

Zł. 500
Jot 600

23 I 68

Oferta 500 zł

Wspomnienia powstańca z 1863 r.

Pochodzę z rodziny, która niemało wycierpiała za sprawę polską na Litwie. Udział swój w powstaniu z 1831 r. przypłacił mój ojciec, Wilhelm Giedgowd stratą Giedgowdziszek, majątności ziemskiej, będącej od wielu pokoleń w naszych rękach. Wykupiwszy się od odpowiedzialności chodził czas jakiś dzierżawami, a że mu się nie wiodło, więc skończył na służbie po dworach. Miał miejsce u p. Wojtkiewicza, kiedy w r. 1837 z urodzeniem się mojem spadł mu nowy kłopot na głowę. Ochrzczono mię w Szadowie, dano imię Apolinarego i powierzono na razie opiece babki. Wyrosłszy na chłopca, odbyłem w Wilnie naukę i już w 17-tym roku życia dostałem posadę organisty w Nowych Trokach. Zajmowałem ją blisko lat 10 i miałem właśnie żenić się z panną Józefą Łukaszewską, z którą mię ciotka moja swatała, gdy wybuchło ostatnie powstanie. Namówił mię i doprowadził do przysięgi przed krucyfiksem, przy zapalonych świecach, b. rotmistrz, p. Eustachy Chmielewski, właściciel majątku Olsoki i komisarz włościański z wyboru. Dopomagał mu dzielnie w werbunku brat jego Ryszard, który świeżo był uniwersytet skończył.

W początkach maja 1863 r., korzystając z jakiegoś festu, wyszło nas 18-u z Trok, niektórzy poprzebierani po chłopsku. Na punkcie zbornym, w lesie, niedaleko Starych Trok, czekało na nas 15 ludzi pod wodzą Sendyka, warszawianina, który tylko tymczasowo, zanim Chmielewski nie przybędzie, miał nad nami sprawować komendę. Broń z amunicyą, wcale liche dubeltówki, albo pojedynki, była już przedtem przygotowana.

wymieniona i schowana w lesie. Rozłożyliśmy się obozem na wyspce wśród bagien, znalazł się zkądś kowal z kuźnią polową, ochotników nie brakło, bo i z Wilna do nas się przekradali, tak że niebawem było nas 80^{u}. Zawitał pod ów czas do obozu ks. Kontrymowicz, młodziutki wikary i bardzo pięknie do nas przemówił, dodając otuchy i odwagi, przypominając, że Dawid, małe chłopię, powalił drobnym kamykiem olbrzymiego Goliata, tłumacząc, że sprawa nasza dobra i że zwyciężymy, jeśli Bóg nam pomocy swej użyczy. Za dni kilka oddział nasz się podwoił i liczył bez mała 150^{u} ludzi. Dowiedziała się o nas Moskwa i jednej nocy, choć pikiety rozstawione były, tak misternie na nas szpiedzy całą rotę piechoty, że zbudzeni w pierwospy, ledwieśmy zdołali uratować się ucieczką z otaczającej nas zewsząd matni. Zginęło 4^{ech} naszych, Rutkowski, Jabłoński, syn zamożnego w obywatela i 2 innych. Przepadła prawie cała broń nasza, przepadła kuźnia i mięso zabitej z wieczora krowy. Mnie wyjątkowo udało się ujść z karabinem moim, przez leśnika skarbowego dostarczonym. Kładnąc się spać, wziąłem go wraz z tłumoczkiem, według instrukcyi, między kolana i temu tylko zawdzięczam, żem żadnej szkody nie poniósł. Jeśliby moskale rzucili się na nas śmiało, wytępiliby nas co do nogi, w pierwszych jednak potyczkach tchórz ich oblatywał, zaalarmowali nas sami strzałami i dali czas wymknąć się przez bagno, w którem prawie po pas zapadaliśmy.

Po przejściu burzy gradowej skupiliśmy się znowu i chodząc po leśniczówkach rządowych i zabierając stare karabiny z bagnetami, wyszyftowaliśmy się, jak się dało. Jeden z leśników - zwał się Gimont - sam nas wezwał, abyśmy przyszli go rozbroić, kojnym poczęstunkiem

nas uraczył i broń oddał. Co najlepsza, że później sam się o to postarał, żeby go zaaresztowano i gdy go już wiedziono do najbliższej komendy, jął rzucać się jak waryat, krzyczeć, hałasować, śpiewać, tak że go w drodze jeszcze, jako niespełna rozumu, puścili do domu. Wodzem naszym pozostał do końca Sendyk, bo Chmielewski nie wiem dlaczego nie przybył. Sendyk, b. urzędnik kolei żel., słuszny mężczyzna, lat około 30tu dbał o to, żeby każdy z nas miał broń palną. Gromadząc rozproszonych i przyjmując prawie codzień nowozaciężnych, utworzył on wkrótce partję ze 180 ludzi. Kręciliśmy się tu i owdzie, ~~a~~ aleśmy dość długo w rzetelnej potrzebie nie byli.

Przyszła i na nas kolej. Wislouch i Lubicz, którzy na czele 300tu ludzi, wliczając w to i kosynjerów, już byli nieraz a dobrze moskwę trzepnęli, wezwali nas do połączenia się z nimi w lesie pod Olkienikami, w przewidywaniu nieuchronnej rozprawy. Ruszyliśmy. Gdyśmy się zbliżyli do umówionego miejsca, bagnety nasze, których mieliśmy kilkanaście, wywołały zpoczątku pewien popłoch w oczekujących na nas braciach, rychło się wszakże opatrzyli, spotkali nas uroczyście i wieczerzą w jakichś murach klasztornych podjęli, nie bez dogadywania, że tego chleba darmo nam nie dadzą, że dość tego próżniactwa, że i nam wkońcu wypadnie prochu powąchać itd. Pełni dobrej myśli pociągnęliśmy nazajutrz, pierwszego dnia Zielonych Świątek, pod Rudniki i zajęliśmy nad rzeczką upatrzone zgóry stanowisko. Przed nami leżała łąka, gęstym, starym lasem otoczona i gościńcem Olkienickim przecięta. Mając po prawej stronie bagno, a po lewej rzeczkę, byliśmy mniej więcej od obejścia zabezpieczeni, grube stuletnie sosny starczyły nam za najlepszy szaniec. Minęło parę godzin,

zanim nadeszli kochani goście, a było ich sporo, bo sześć rot nas wtedy ścigało. Gdy na strzał wyszli, plunęliśmy w nich ołowiem. Wnet rozsypali się w łańcuch tyraljerski i dalej ku nam. Kilkakrotnie leźli naprzód, lecz za każdym razem cofać się musieli. Wreszcie gdy im ta gra dokuczyła, rzucili się hurmem na bagnety. Na tę broń nie mogliśmy mierzyć się z nimi, w mgnieniu oka przeto drapnęliśmy na prawo przez błoto, że zaś wozów z nami nie było więc żadną zdobyczą nie pocieszyli siebie za te trupy, co je w trzech dołach potem pochowali. W naszym oddziale mieliśmy tylko trzech rannych, ani jednego zabitego: jakie straty Wisłouch poniósł, nie wiem, ale bodaj, że też nie wielkie.

Sprawiwszy się jak należy, pomaszerowaliśmy każdy w swoją stronę. My z Sendykiem przebraliśmy się przez Niemen do gubernii Augustowskiej, gdzieśmy się trzymali całe lato. Raz, pomnę, było z nami krucho. Wyparli nas z lasu na szczere pole, a drugi las był dopiero o milę. Pędziliśmy co sił w nogach koło jakiejś wioseczki, a pogoń kozacka już, już nas dopadała. Wtem ktoś strzelił z owej wioski. Kozacy rzucili się do chałup, żeby tam „pohulać" po swojemu, a my korzystając z tego nieoczekiwanego obrotu rzeczy dobiegliśmy do drugiego lasu. Urwało się wreszcie ucho od dzbana. Zgubiły nas nakazywane nam trzykrotnie marsze ku pruskiej granicy po odebranie transportu broni. Dwa razy przecięły nam wszystkie przesmyki tak wielkie siły, że radzi byliśmy, żeśmy się jako tako wycofać mogli. Za trzecim razem, w październiku, o milę od granicy, około Bud, spotkała nas klęska zupełna. Wyślizgiwaliśmy się jak piskorz moskalom, ścigającym nas bez przerwy przez trzy tygodnie, wkońcu schroniliśmy się do nie-

dużego lasu, spodziewając się, że uda się nam może doczekać w ukryciu nocy. Omyliliśmy się szpetnie. Sześć rot i 200 kozaków otoczyło nas dokoła. Jedna rota strzelała do lasu, żeby nas wyparować w pole, a reszta zaczaiła się na skraju. Kto z naszych chciał polem uciekać, znajdywał albo śmierć, albo niewolę. Wtargnęli wreszcie do środka lasu z oficerem na przedzie, który zaraz na wstępie naszego Sendyka z rewolweru położył trupem. Stałem może o 10 kroków od niego, gdy padł z kulą w czaszce. Prawie jednocześnie padł jeden z kolegów postrzelony w bok w chwili, gdy się schylił, aby podjąć z ziemi piękną dubeltówkę naszego dowódzcy. Spędzeni z właściwego lasu, schroniliśmy się my nieliczni, cośmy jeszcze ocaleli, do leszczyniaku. Wtem i wieczór zapadł. Tu słychać jęk dobijanych, ówdzie dzikie krzyki zabijających, gdzie niegdzie strzał hukunie, życie wisi na włosku, bo od tego tylko zależy, czy obława dojdzie prędko do naszej kryjówki – a mnie kaszel męczyć nie przestaje! Każda minuta wydawała się godziną, a godzina bodaj za rok starczyła. Późnym zmierzchem odwołała trąbka sołdatów od pastwienia się nad rannymi i obdzierania zabitych. Rozpalili ognie obozowe. Jak z pod ziemi wyrósł jakiś poczciwy chłopek i ten nas pod samym nosem Moskwy, do której i ćwierci wiorsty nie było, chyłkiem, po zoranej roli, z toni wywiódł.

Rozproszeni, po dwóch, po trzech, staraliśmy się przekraść do jakiejkolwiek partii, ale już żadnej nie było w pobliżu. Uradziliśmy z Kleczkowskim, który także z Trok do powstania poszedł, wrócić do domu i dobrowolnie się stawić. Przeprawiwszy się szczęśliwie przez Niemen, byliśmy już nie tak daleko od domu, gdy naraz usłyszeliśmy

trąbkę. Wdrapaliśmy się czem prędzej na dąb, rozglądamy się z niepokojem – ato oficerowie urządzili sobie polowanie. Jeden z nich stanął potem wcale blisko od nas, ćmiąc papierosa i ani mu się śniło, jaką zwierzynę ma nie przed, ale nad sobą. Cały dzień nas tak przetrzymali między niebem i ziemią i ledwie pod wieczór mogliśmy puścić się w dalszą drogę. Kleczkowskiego nie przyjął ojciec z powodu ustawicznych rewizii, ukrył się więc do czasu u burłaka. Zostawszy sam jeden, ledwie wyprosiłem w zagrodzie szlachcica zaściankowego, że mi kawałek chleba przeze drzwi podał, noc zaś u jego płotu spędzić musiałem, bo do izby, jako się rzekło, nie wpuścił. Tam na tym niewesołym noclegu zagrzebałem pod liśćmi fuzyę, patrontasz i pistolet, torebkę z resztą rzeczy porzuciłem nocy zaś następnej, ostatniej którą w lesie jeszcze spędziłem i tylko z ręcznikiem a miotłą z gałązek brzozowych zrobioną, poszedłem do miasteczka, udając, że niby do łaźni idę. Most był rozrzucony, po kładce przeto pod oczyma trzech wart moskiewskich paradować musiałem, dotarłem jednak szczęśliwie, nie poznany i nie nagabywany przez nikogo, do plebanii. Po paru dniach na strychu spędzonych sam się przekonałem, że mi nie zostaje nic innego, jak wydać samego siebie władzom.

Kiedym się zameldował, wzięto mię najpierw na odwach, na noc zamknięto do turmy i zaraz nazajutrz z 30ᵘ towarzyszami, w których liczbie był i Kleczkowski, wyprawiono do Wilna. Tu siedzieć mi przyszło w klasztorze pofranciszkańskim. Działo się to już na początku listopada. Między innymi więźniami był i p. Chmielewski, który nie mogąc pomódz inaczej, rzucał nam tytuń przez okno, gdy nas na prze-

chadzkę co drugi, lub trzeci dzień prowadzono do ogrodu. Za parę groszy można było od warty dostać wody gorącej do herbaty, kto zaś chciał, to i wódki, a nawet i listy miewaliśmy i posyłali. Cele były ciepłe, miejsca dosyć, bo w każdej kamerze nie było nas więcej nad 4-6, używaliśmy tedy ruchu do woli. Spało się, ile się chciało, i za dziś i za wczoraj. Jedzenie było nie wymyślne, ale dobre i smaczne.

Badali, pytali, wkońcu skazali na wygnanie do Tomskiej gub., na tak zw. „posielenje". 2 stycznia 1864 r. odebrano nam naszą odzież oraz pieniądze ponad 1 rubla (ja potrafiłem schować w książce do nabożeństwa 5 rb, które dostałem od narzeczonej), o 12½ w nocy wywiedli na dziedziniec więzienny, zkąd otoczeni piechotą, mając kozaków na przodzie i z tyłu, pomaszerowaliśmy na dworzec kolei żel. Partja nasza składała się z 700 tak politycznych skazańców, jak z rozmysłem domięszanych do nich kryminalistów. Wszystkich razem wpakowali do wagonów bydlęcych, wypłaciwszy każdemu po 15 kop., z nakazem, aby za to kupić sobie chleba na trzy dni, bo też tyle dni nas do Petersburga wiekli.

W wagonie upłynęło dobre pół-godziny w zupełnej ciszy. Przerwał ją staruszek Zabłocki, skazany wraz z synem do Tobolskiej gub., intonując: „Kto się w opiekę". Prześpiewaliśmy całą pieśń chórem. Oswoiliśmy się potem z naszem położeniem, wszczęły się śmiechy, żarty, śpiewy i śpiewki...

Z Petersburga do Moskwy jechaliśmy trzecią klasą i pozwalano nam wysiadać po stacyach. W Moskwie przebyliśmy cały tydzień w wielkich koszarach „Kałamażnyj Dwor" zwanych, śpiąc na „narach" i pod

narami, bez słomy nawet, bo jej nie dano. Innych nadużyć nie było, odbywały się bowiem często rewizje jeneralskie. Ze swoich 5ᵘ rb. kupiłem od współwięźniów czapkę i buty - za półtora rubla.

Do Niżnego Nowgorodu dowiozła nas kolej, ztamtąd zaś aż do Tomska transportowano nas końmi, sadzając po dwóch na jednokonne sanie i zaopatrując w dobre tułuby. W Permie odpoczywaliśmy trzy dni, w Tobolsku, gdzie gubernator Despot-Zenowicz po polsku z nami rozmawiał, przez cały tydzień, w Tomsku znowu 3 dni. W Tomsku trzymani byliśmy w więzieniu dla skazanych na roty aresztanckie, ale nam pozwalano chodzić do miasta, dając na 4 więźniów jednego żołnierza za stróża. Dwóch warszawiaków skorzystało z mniej ścisłego dozoru i uciekło, chłopi jednak tegoż dnia ich złapali i odstawili. Przy tej sposobności jął nas jeden chłop łżyć i łająć, sunęliśmy się więc doń groźnie, lecz naczelnik załatwił wnet zatarg po ojcowsku, wygrzmocił chłopa porządnie, do „panow" natomiast - tak nas tytułował - przemówił łagodząc i przestrzegając. Ze względów oszczędności, żeby uniknąć dawania „kormowych", wysłano 700 nas do Biejska i 800 do Kuźniecka, do „wolnych kabinetskich włości" i pozostawiono własnemu losowi. Mnie przeznaczono Biejsk na miejsce zamieszkania. Przybywszy tam przenocowałem u chłopa, poprosiłem go nazajutrz o topór i poszedłem drwa rąbać ...

Ale czuwała nad nami Opatrzność. W Biejsku był internowany polak Kalinowski, ongi nauczyciel dzieci cesarskich, podówczas zesłaniec polityczny, cieszący się wielkim poważaniem u rosjan. Zgromadził on nas wszystkich, zachęcił do pracy, jedności i uczciwości, do porządnego,

cichego i cnotliwego życia. Za jego radą ustanowiliśmy własny sąd mający czuwać nad tem, aby postępowanie jednego wietrznika nie szkodziło wszystkim. Gdy się upewnił, że mamy szczerą chęć usłuchać jego upomnień, zaczął polecać nas gorąco bogatszym kupcom. Mnie wystarał się o miejsce furmana, także u kupca, za 4 rb. miesięcznie i wielce się ludzie temu dziwowali, że Kalinowski, który kaznaczejowi (łapownikowi) ręki nie podawał, z prostym „kuczerem" witał się jak z równym sobie. Po niejakim czasie nadesłał ojciec 10 rb, tyleż otrzymałem od siostry, oporządziłem się więc i rzuciwszy furmaństwo wykierowałem się na zawiadowcę „kabaku" tj. szynku. Niebawem na 15 kabaków 13 było pod zarządem naszych wygnańców, dwa zaś tylko zostały moskalom, u których zresztą nikt brać nie chciał. Nie mogąc w inny sposób nas wygryźć, jęli pozbawieni zyskownego zajęcia dawni szynkarze i szeptać temu i owemu do ucha i rozrzucać kartki pisane, że polacy tej a tej nocy mają podpalić miasteczko. Mieszkańcy, którzy już nas byli polubili, nabrali do nas nieufności i prawie nas znienawidzili, stróżowali pod naszemi oknami w te noce, na które pożar był zapowiadany i dopiero wtedy gdy im czas pokazał, że w oszczerczych pogłoskach nie było ani krzty prawdy, wrócili do dobrej z nami konitywy.

Pierwsze cztery lata przeszły nam tedy w Bijsku nie najgorzej i było nam bardzo markotno, gdy gubernator kazał wszystkich polaków przenieść do Tomska, żeby się który nie targnął na W. ks. Włodimira, który zwiedzając Syberyą, postanowił i powiaty objeżdżać. Dla wielu z nas rozkaz gubernatorski przyniósł zupełną ruinę, bośmy się już

urządzili na stałe i musieliśmy porzucić pola zasiane, spieniężać za bezcen konie, ruchomości itp. W Tomsku dawano nam na utrzymanie od 3 do 6 rb miesięcznie, ale lepiej nam było w powiatach Bijskim i Kuźnieckim, najbogatszych w całej gubernii. W mieście puścili się niektórzy, mianowicie warszawiacy, na hulanki, romanse z mężatkami, wbrnęli w długi. Poręczyciele, dr. Michałowski i naczelnik poczty Butkiewicz, wydobywali z biedy lekkomyślnych rodaków, z ciężką własną krzywdą. Co do mnie, tom na razie worki we młynie nosił. Po kilku miesiącach zbiłem się z sił zupełnie i uważałem za wielką łaskę losu, gdy mię jeden z towarzyszy wygnania wziął na pomocnika do swego kramiku z płacą trzech, a później czterech rb. miesięcznie.

I znowu minęły 4 lata w Tomsku, aż do ogłoszenia manifestu, który mi wrócił prawa szlacheckie. Natychmiast pojechałem do Bijska, nie znalazłem tam wszakże stałego zajęcia. Skusiła mię chętka szybkiego porośnięcia w pierze, udałem się przeto na Ałtaj do kopalń i wstąpiłem do arteli. Pracowałem ciężko, kopałem, woziłem piasek, nie wiodło się wszelako i całej arteli i mnie z nią razem. Nie wiedziałem już co dalej począć, gdy w samą Niedzielę Palmową czerpiąc wodę z krynicy pośliźgnąłem się i aż po pas wpadłem. Zdejmuję but, wodę wylewam, wtem wypada z buta kawałek kamienia, „żelaźniaka", a w nim błyszczą samorodki złota. Tak cudownie znaleziony kamień sprzedałem za 24 rb, popłaciłem długi, kupiłem konia i harowałem dalej, z marnym wszakże zarobkiem. Rzuciłem wkrótce niewdzięczne zajęcie i wystarałem się o posadę pisarza pocztowego na wsi z wynagrodzeniem 3 rb. miesięcznie.

Przejeżdżał raz przez moją stacyą dozorca służący w kontroli kopalni złota, podobałem mu się i dał mi miejsce podrzędnego ajenta z pensją 25 rb, bez żadnych dodatków i z obowiązkiem posiadania własnego konia. Mało co mogłem na stronę odłożyć, chociaż koledzy moi mieli po 7 koni i robili „oszczędności" do 800 rb. rocznie, oczywiście pozwalając kraść, na com ja nie pozwalał. Po 16-u latach wiernej służby i po rozmaitych awansach, płaciła mi kompanja 30 rb. miesięcznie i dawała całkowite utrzymanie. Jednej nocy okradziono mię doszczętnie z całej chudoby i to mię tak obrzydziło Syberyą, że pożegnawszy ją i „pryiski", aż w Permie się oparłem, gdziem przez lat 10 zajmował miejsce organisty przy kościele katolickim. Na starość wzmogła się tęsknota do kraju, wróciłem więc w r. 1898 do Wilna, alem już sióstr swoich nie znalazł przy życiu.

Kleczkowski został urzędnikiem policyjnym



